

## Początki podziemia w Lubiążu

Lubiąż, miejscowość w powiecie wołowskim, licząca niewiele ponad 2 tys. mieszkańców, ma bogatą przeszłość. W 1163 r. książę śląski Bolesław Wysoki osadził tu pierwszy na Śląsku zakon cystersów, którego dzieje zaważyły na losach Lubiąża. Miejscowość była własnością klasztoru, a w latach 1249–1844 posiadała prawa miejskie. Po sekularyzacji zakonu w 1810 r. w klasztorze mieścił się szpital dla umysłowo chorych. W pierwszych latach XX w. szpital przeniesiono do nowego obiektu, położonego po przeciwległej stronie miejscowości. W czasie II wojny światowej w Lubiążu znajdowała się fabryka broni, w której pracowali więźniowie m.in. z Luksemburga. Po wojnie obiektem poklasztornym dysponowała Armia Czerwona, która urządziła tu szpital. Nie był to dobry okres dla zespołu poklasztorowego – zniszczono wówczas wiele zabytków, zamieniając wspaniałe barokowy obiekt w ruinę. Po opuszczeniu Lubiąża przez żołnierzy radzieckich obiekt stał się magazynem różnych instytucji. W 1982 r. na terenie klasztornym odkryto skarb monet z XVII i XVIII w., (ponad 1290 egzemplarzy srebrnych i ponad 60 egzemplarzy złotych). Odnaleziony skarb, ukryty przez zakonników w czasie wojen śląskich w XVIII w., został „zabezpieczony” przez władze PRL. Z rozkazu

gen. Kiszczaka, łamiąc ówczesne przepisy, postanowiono niektóre znalezione monety sprzedać poza granicami Polski, m.in. w Austrii i w Niemczech Zachodnich, by uzyskanymi w ten sposób środkami zasilić „służby operacyjne”.

W działającym po wojnie Wojewódzkim Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lubiążu znajdował się jeden z nielicznych w PRL ośrodków leczenia narkomanów, w latach siedemdziesiątych prowadzony przez doktora Zbigniewa Thille. Był to wysokiej klasy specjalista, zapraszany na konferencje i wykłady przez ośrodki leczenia narkomanów w całej Europie. Metody doktora Thille, niekonwencjonalne w PRL, przysporzyły mu wielu zwolenników, ale i przeciwników. Dr Thille oprócz tradycyjnych metod wprowadzał nowe, oparte na doświadczeniach z zachodnich ośrodków. Polegały one m.in. na organizowaniu dla pacjentów wycieczek i obozów w Bieszczady. Tam tworzyły się swoiste „kolonie”, których uczestnicy musieli sami zadbać o swoje utrzymanie, wyżywienie i dach nad głową, samodzielnie budując „wioski”. Poprzez pracę fizyczną dr Thille, a później psycholog Wiesław Fiszer osiągnęli zamierzony cel – wielu pacjentów wychodziło z uzależnienia, zakładali własne rodziny, stawiali się samodzielni, znajdowali pracę. Niektórzy jednak wracali do nałogu i terapię trzeba

było rozpoczynać na nowo. Bieszczadzki epizod w życiu osób uzależnionych, które szukały swego miejsca na ziemi, scharakteryzował Krzysztof Gulbinowicz w zbiorze opowiadań *Odpryski z rozbitego dzbana*, wydanym po raz pierwszy w 1989 r w Niezależnych Warsztatach Wydawniczych „Ogniwo”. Przewijają się tam nazwiska osób, o których mowa w tym opracowaniu.

Autor opowiadań, choć sam nie miał problemów z narkotykami, był uzależniony od alkoholu. Uczestniczył w terapiach narkomanów, pracując w lubiąskim szpitalu jako salowy pod koniec lat siedemdziesiątych. Korzystał na tym, walcząc z nałogiem. Tak dotrwał do sierpnia 1980 r. i do powstania „Solidarności”. Tutaj odnalazł dla siebie miejsce, pracując jako drukarz w Zarządzie Regionu „Solidarności”. Przestał pić, poczuł się potrzebny, uczestnicząc w przemianach, jakie wówczas następowały. Niestety, po 13 grudnia 1981 r. problem z alkoholem powrócił. W latach osiemdziesiątych Gulbinowicz był działaczem Solidarności Walczącej, pracował w podziemiu jako drukarz.

Na terenie lubiąskiego szpitala dr Thille organizował spotkania z aktorami, artystami, pisarzami, pacjenci byli odwiedzani przez swoje rodziny i znajomych. Niestety, rodziło to nowe niebezpieczeństwo ze strony przyjezdnych, którzy do Lubiąża często przywozili ze sobą narkotyki. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Lubiążu i okolicznych miejscowościach zauważono wzrost liczby narkomanów. Przeciwnicy dra Thille wykorzystali to rosnące zagrożenie i wpłynęli na władze, by usunąć go z zajmowanego stanowiska. Dr Thille otrzymał „kopa w górę”, do ministerstwa. Na początku lat osiemdziesiątych w niejasnych okolicznościach zmarł. Rockowa grupa TSA poświęciła mu jeden ze swoich utworów, zatytułowany 51.

Szpital w Lubiążu stał się w latach osiemdziesiątych nie tylko największym zakładem pracy w okolicy, zatrudniającym ok. 1500 osób, ale był też miejscem, gdzie krzyżowały się kontakty działaczy opozycyjnych. Jednym z nich był Wiesław Fiszer, inicjator działań opozycji w Lubiążu. Oto jak wspomina początki „Solidarności” w szpitalu:

„Pomysł założenia »Solidarności« w »psychiatryku« wymagał pokonania oporu stawianego przez

stare związki zawodowe. Wymyśliłem fortel godny Zagłoby: na zebraniu całej załogi zaproponowałem, żeby wszyscy anonimowo podawali, czym ma zajmować się nowy związek. Postulaty były wrzucane do skrzynki, następnie na następnym zebraniu odczytane do wiadomości zebranych. No i się zaczęło! Było ich ze 300, a wszystkie uderzały w tzw. uprzywilejowanych i dotąd bezkarnych »władców«. Tutaj wiedzieli sąsiedzi, jak kto siedzi. Po odczytaniu zaczęły się interwencje obrażonych. Odpowiadałem wszystkim, że dopóki nie ma nowego związku, nie możemy niczego wyjaśniać, a nawet gdy już będzie, to możemy wyjaśniać tylko sprawy dotyczące jego członków. Lepiej więc było zostać członkiem związku, aby nie być na marginesie wydarzeń. W efekcie do »Solidarności« zapisało się 96% załogi. Jedni w nadziei na oczekiwane zmiany, drudzy ze strachu przed konsekwencjami zmian. Zażądaliśmy powielacza i zaczęliśmy wydawać zakładową gazetkę, gdzie były zamieszczane wyjaśnienia kwestii poruszanych w postulatach. I tak to się zaczęło”.

Niestety, archiwum pierwszych dni „Solidarności” wraz z postulatami załogi „psychiatryka” zostało skonfiskowane w stanie wojennym.

### „Solidarność” w szpitalu

Przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” był Bogdan Lipowicz, zastępcą Wiesław Fiszer. Ponadto w komisji znaleźli się: Maria Adamska, Janina Białowas, Robert Sawko, Kazimierz Ryż oraz pani (imię nieznane) Skawińska, która pełniła rolę księgowej.

Szpital miał także „swego opiekuna resortowego”, był nim funkcjonariusz SB z Wołowa Marek Sęk. Oto jak wspomina tę postać Stanisław Ryzek, działacz „Solidarności” z Wołowa:

„Znałem go z któregoś wcześniejszego przesłuchania, czyli jeszcze przed oficjalnym przedstawieniem go przez dyrektora szpitala dr. Rydza, kiedy ten, wezwał mnie do swego gabinetu. [...] Przy każdej sposobności lubi podkreślać swoją wyższość. Sugerował więc, że skończył studia (co było nieprawdą), jak podkreślał, »na cywilnej uczelni«, jego ubiór jest nienaganny, niezłe kontrastujący z niechlujnym, nieco hipisowskim stylem opozycjonistów. Nawet

pióro, którym pisze, ma złotą stalówkę (nigdy nikomu nie daje go do ręki). W pojedynkach słownych nigdy nie odpuszcza, ogólnie typ zawzięty i ambitny do przesady, a przy tym złośliwy jak panna w ciąży. Na domiar złego, jak to u nich w zwyczaju, nie cofa się przed kłamstwem, prowokacją, pomówieniem. Nie tak dawno w trakcie poprzedniego przesłuchania osobiście zdjął mi z szyi krzyżyk z orłem, twierdząc, że jest on nielegalny, wcześniej zarekwirował z mojej teczki taśmę magnetofonową z przemówieniem ks. Popiełuszki”.

W stanie wojennym motorem napędowym podziemia w Lubiążu był Fiszer. Kiedy funkcjonariusz SB dał mu do podpisania „lojalkę”, ten oświadczył, że podpisze tylko taką treść, którą sam ułoży. Tekst ten brzmiał: „Nigdy nie działałem i nie będę działał na niekorzyść Narodu Polskiego”. Tekst został zaakceptowany przez esbeka, a sam autor uniknął w ten sposób dyskomfortu psychicznego. Także inni działacze z Lubiąża i Wołowa, poinformowani przez Fiszera, podpisywali takie oświadczenia.

Fiszer kontaktował się z Władysławem Frasyniukiem, a po powstaniu Solidarności Walczącej także z Kornelem Morawieckim. Organizował papier do druku „bibuły”, korzystając m.in. ze zgromadzonych w Malczycach zapasów. Był współredaktorem gazetki „Podaj Dalej”, wydawanej w latach 1982–1984, która swoim zasięgiem obejmowała Brzeg Dolny, Milicz, Wołów. Matryce do drukowanych tekstów przygotowywał na swojej prywatnej maszynie do pisania. By uniemożliwić rozpoznanie parametrów maszyny, przed każdym nowym numerem delikatnie odginał kombinerkami czcionki w maszynie. Dzięki temu nie został oskarżony o druk pism, chociaż maszyna została „aresztowana” i była sprawdzana pod kątem jej zgodności z drukowanymi materiałami. Do przewozu „bibuły” Fiszer zakupił używany motocykl WSK. Ponadto „bibuła” była przewożona do okolicznych miejscowości przez innych działaczy, m.in. Józefa Kuśnierzewskiego, który pracował jako zaopatrzeniowiec w lubiąskim szpitalu. Prasa i książki były zawsze tak dobrze ukryte w samochodzie, że funkcjonariusze SB nigdy ich nie odkryli, chociaż podejrzewali, że zaopatrzeniowiec przewozi samochodem nie tylko

żywność dla szpitala. W końcu, nie mając żadnych dowodów, zagrozili, że jego chora na nowotwór żona nie otrzyma miejsca w szpitalu.

Przewodniczącym „Solidarności” w lubiąskim szpitalu był Bogdan Lipowicz. Początkowo Lipowicz pracował jako salowy, później został terapeutą zajęciowym. Dzięki znajomości z Gulbinowiczem (oba mieszkali we Wrocławiu przy ul. Nadodrzańskiej) nauczył się drukować. W organizowaniu drukarni pomagał mu Bogdan Adamski (zm. w 2013 r.), syn Marii Adamskiej, pracujący na portierni lubiąskiego szpitala. Adamski pracował z jednym z miejscowych ormowców i od niego dowiadywał się o akcjach wymierzonych przeciwko podziemiu. Ryczek z Wołowa tak scharakteryzował ormowca: „to była kanalia, która donosiła na każdego, bo był ideowym komunistą, a może raczej ideowym ormowcem”. Drukowanie odbywało się zazwyczaj w opuszczonym budynku przy dawnej przeprawie promowej. Czasami, gdy żona Lipowicza z dziećmi wyjeżdżała, drukowano w jego w mieszkaniu. Lipowicz 14 grudnia 1981 r. został zatrzymany i przewieziony na komisariat MO w Wołowie. Tam esbek podsunął mu do podpisania „lojalkę”. Nauczony doświadczeniem wcześniejszego zatrzymania Fiszera, Lipowicz zgodził się podpisać tylko taką, jaką sam zaproponuje. I tym razem esbek się zgodził. Tekst Lipowicza różnił się nieznacznie od tekstu Fiszera i brzmiał: „Oświadczam, że nigdy nie działałem na niekorzyść swojej Ojczyzny. Oświadczam, że nigdy nie będę działał na niekorzyść swojej Ojczyzny”.

Lipowicz kilkakrotnie namawiał swoich kolegów, by przygotowali skrytki, w których można by przechowywać różne materiały. Ci jednak z rezerwą podchodzili do tego „harcerstwa”, jak mówiono. Z czasem jednak, gdy SB podczas rewizji w domach „wygarniała” bibułę czy inne materiały potrzebne do pracy podziemnej, zmienili zdanie. Sam Lipowicz zrobił w swoim mieszkaniu skrytkę w progu pomiędzy przedpokojem a pokojem. Mimo kilkukrotnych rewizji skrytki nie udało się esbekom wykryć.

Najbardziej spektakularną akcją podziemia w Lubiążu była ta przeprowadzona wieczorem 9 listopada 1982 r. Była to jedna z wielu akcji „Solidarności”, jakie zostały zaplanowane w całej

Polsce w rocznicę rejestracji związku przypadającą 10 listopada. Akcja w Lubiążu była konsultowana i przygotowywana wraz z „akcją kolczatkową” w Wołowie.

Za genezę listopadowej akcji działaczy z Lubiąża i Wołowa należy uznać początek września 1982 r., gdy w wołowskim mieszkaniu państwa Niedzielskich spotkali się działacze podziemnej „Solidarności”: Wiesław Fiszer, Ryszard Gruś, Ferdynand Kaduszkiewicz, Władysław Białowąs i Jan Krasowski. Zastanawiano się, w jaki sposób można by dać świadectwo obecności podziemnej „Solidarności” w Lubiążu i w Wołowie. Odrzucano myśl wyprowadzenia ludzi na ulicę – w małych miejscowościach pozbawionych dużych zakładów pracy takie akcje nie przyniosłyby spodziewanego rezultatu, a uczestnicy byłiby szczególnie narażeni na represje ze względu na brak anonimowości. Podczas późniejszych spotkań zdecydowano się na wywieszenie flagi „Solidarności” w widocznym miejscu w Lubiążu i w Wołowie oraz rozrzucenie kolczatek w Wołowie, by sparaliżować dojazd pracowników do zakładów w Lubinie.

W pracowni plastycznej lubiąskiego szpitala Barbara Bohonos i Krystyna Skrobek uszyły flagi, które zostały wywieszone w Lubiążu i w Wołowie wieczorem 9 listopada. Wywieszeniem flagi na kominie lubiąskiego szpitala zajął się Bogdan Lipowicz. Oto jego relacja:

„Kłopot z wywieszeniem przeze mnie flagi polegał na tym, że z żoną i dzieckiem mieszkaliśmy na terenie szpitala, w budynku dla pracowników, i pierwsze podejrzenie padłoby na mnie, jako przewodniczącego »Solidarności«. Już na kilka dni przed akcją w rozmowach z sąsiadami wspominałem, że muszę wyjechać do rodziny coś tam załatwić. Tak zamieniałem się zmianami w pracy, żeby mieć te dni wolne »na wyjazd«, wszyscy to wiedzieli. Naprawdę zostałem w domu i nikomu się nie pokazywałem, a kiedy ktoś o mnie pytał, żona mówiła, że wyjechałem.

Tamtej nocy wyszedłem z domu przez uchylone okno na parterze, od strony pól, żeby nikt nie widział. Zgodnie z umową z Jackiem Rydlewskim spotkaliśmy się na terenie szpitala. Byliśmy ubrani na czarno, tak by w razie pogoni nikt nas nie rozpoznał. Stopnie do wejścia na komin zaczynały

się trzy metry nad ziemią, żeby nie włązili tam przypadkowi ludzie. Przyciągnęliśmy kilkumetrową metalową drabinę z kątowników, która leżała pod murem. Była niewygodna, bo ciężka, trudno było ją nieść, ale problem był w czym innym. Wejście na komin i zejście trochę trwa, zwłaszcza że to gołe metalowe pręty, a przy tym stres, wysokość, trzeba przystawać – człowiek to przecież nie zręczna małpa. Od Bogdana Adamskiego wiedziałem, że na terenie szpitala planowany jest całonocny patrol (ormowiec, pezetpeerowiec, aktyw społeczny), gdyby drabina stała oparta o komin podczas jego przejścia, to po zawodach. Zaraz po moim wejściu na szczeble Jacek schował ją w cieniu za jakimś budynkiem.

Ale głupio włązić tylko po to, żeby flagę zdjęli skoro świt, gdy tylko ją zauważą. Ludzie nawet się nią nie nacieszą. Więc jeszcze w domu naciąłem w rękawiczkach karton papieru, zapakowałem w szary papier i namalowałem na nim czarną farbą trupią czaszkę i piszczele. Napisałem: »Uwaga! Nie ruszać, grozi wybuchem«. Flagę powiesiłem na szczycie, paczkę przyczepiłem ze dwa metry niżej.

Po zejściu z komina wróciłem bocznymi drogami do domu i wszedłem przez pozostawione otwarte okno. Przebrałem się i umyłem (komin u góry kopci!). Znowu wyszedłem oknem. W tym samym czasie Bogdan Adamski z kimś, kogo nazwiska nie pamiętam, na murach prowadzących do szpitala wymalował kotwicę, symbol Polski Walczącej i napisy KPN. Z daleka nawet słyszałem tupot nóg. Przez pola poszedłem na umówione miejsce, gdzie w maluchu czekała umówiona przez Wiesława Fiszera młoda lekarka, która zawiozła mnie na stację w Wołowie. Tak celowaliśmy, żeby trafić na pociąg do Wrocławia, bilet był kupiony już wcześniej, żeby się nie pokazywać przy kasach.

Rano zabezpieczenie flagi sprawdziło się. Nikt nie chciał tego ruszyć, wezwano strażaków, ci oświadczyli, że nie są saperami, wezwano więc saperów z Wrocławia. Tymczasem zrobiło się przedpołudnie. Ludzie mieli trochę radości. Jak wiadomo, w tym zamieszaniu flaga »Solidarności« »zaginęła«. Czyli безпеka została pozbawiona nawet trofeum. Ale o tym dowiedziałem się już po powrocie, dwa dni później”.



Do relacji Lipowicza należy dodać, że zdjętą z komina flagę saperzy ułożyli w samochodzie. Zbigniew Zieliński, szewc z Lubiąża, wykorzystał chwilę nieuwagi bezpieki i ogólnego chaosu, by zabrać ją z auta. Zdobytą flagę przekazał Fiszerowi.

W tym miejscu warto wspomnieć o innej spektakularnej akcji ukrycia tajemniczej łączniczki (kurierki?) w 1985 r. Była to dwudziestokilkuletnia dziewczyna, którą pewnego dnia funkcjonariusze SB przywieźli z Wrocławia na leczenie. Nazywała się Krystyna Stembalska. Dziewczyna nie sprawiała wrażenia osoby chorej. Była może trochę zakręcona, ale jej stan nie był na tyle groźny, by traktować ją jak inne pensjonariuszki. Tym bardziej że młoda osoba była, jak się później okazało, jedną z uczestniczek spotkania podziemnej „Solidarności”, przerwane przez SB. Od początku symulowała chorobę psychiczną, by uniknąć aresztowania. W celu dokładnego zdiagnozowania jej stanu esbecja przewiozła ją do szpitala w Lubiążu. Tutaj znalazła się wśród osób o podobnych zapatrywaniach, które starały się zapewnić jej jak najlepszą ochronę. Dużą rolę odgrywała działalność doktor Elżbiety Lipnickiej (zmarłej w 2015 r.), która została wtajemniczona przez doktora Fiszera. Pobyt Krystyny Stembalskiej w lubiąskim szpitalu nie mógł trwać wiecznie. SB kilkakrotnie dowiadywała się o jej stan zdrowia, czekając na sposobną chwilę, aby przewieźć ją do komendy na dalsze „badania”. Zdecydowano się więc zorganizować ucieczkę pacjentki i przewieźć ją do Wrocławia. Oto, co na ten temat mówi Ryczek, pracujący wówczas w szpitalu jako terapeuta zajęciowy i działacz solidarnościowego podziemia z Wołowa:

„Wreszcie idą. Widzę przez okno klatki schodowej Kazika Żaka z dziewczyną wchodzących do budynku oddziału III. Schodzę do nich w pośpiechu, byłem pewien, że coś złego się stało. No bo jak wytłumaczyć to gigantyczne spóźnienie. Kaziu, którego zadaniem było odebranie dziewczyny z oddziału, w kilku zdaniach mówi o administracyjnych perypetiach, które spowodowały, że zamiast o dziewiątej wypis skończono o wpół do jedenastej. Idziemy w kierunku bramy, chociaż pierwotnie miałem ją przeprowadzić przez tzw. »górkę miłości« do dziury w płocie, ale to okrężna droga i zajęłaby dodatkowo 20 minut. Dziewczyna

jest przejęta i roztrzęsiona. Gdy pytam, jaki jest dalszy grafik jej podróży, w odpowiedzi pokazuje mi kartkę z dokładnym wyszczególnieniem planu: co, gdzie, o której godzinie, na dole małymi literami: »po przeczytaniu zniszczyć«. Litery drukowane, ale rozpoznałem pismo Fiszera i już wiem, kto koordynuje akcję. Z bramy wychodzimy na duży plac przed szpitalem. Jednym rzutem oka widzę w najdalszym kącie parkingu pod »lekarzówką« dużego fiata. Nie widzę z tej odległości, jaki ma kolor, brązowy czy szary, tym bardziej że stoi w głębokim cieniu. Nie chcę się przyglądać, ale wiem jedno: jeżeli brązowy, to oni. Odwracam głowę w stronę dziewczyny i nakazuję, by schowała się za Kazia. Przechodzimy nie zaczepieni. Albo się udało, albo to nie oni. Wołowska bezpieka mnie zna, nieraz mnie przecież zatrzymywali. I właśnie dlatego miałem wątpliwości, czy aby na pewno jestem odpowiednią osobą do wyprowadzenia dziewczyny przez bramę. Mam tak charakterystyczną gębę (okulary, broda), że nawet ślepy ubek mnie rozpozna. Ale jakoś tak wyszło, że padło na mnie. Przechodzimy pod kościół na górkę, widzę z daleka motocykl »cezetkę« (CZ, produkcji czechosłowackiej, bardzo popularnej w latach osiemdziesiątych w Polsce). Motocyklista, siedząc pod płotem, grzeje się w wiosennym słońcu. Na nasz widok wstaje. To Robert Mielcarek z Wołowa. Kaziu Żak zamienia z nim kilka słów, życzymy obojgu szczęśliwej podróży”.

Motocyklista zawiózł pasażerkę na stację PKP w Wołowie, skąd pociągiem dojechała do Wrocławia. Tam czekał na nią na dworcu Wiesław Leśniański z umówionymi znakami rozpoznawczymi: czerwonym goździkiem i gazetą. Leśniański zawiózł dziewczynę do mieszkania Jolanty i Tadeusza Piątków, działaczy Solidarności Walczącej. U nich mieszkała przez kilka dni. Później udała się w dalszą podróż.

Krystyna Stembalska otrzymała pomoc od Hanny Karniej z Solidarności Walczącej. Została opiekunką dziecka Cezarego Lesisza. Nie chciała jednak dłużej się ukrywać. Ujawniła się w 1985 r. i wyjechała do Niemiec Zachodnich, gdzie założyła rodzinę.

Najlepszym symbolem społecznego wkładu w dzieło „Solidarności” z lat osiemdziesiątych

jest pomnik postawiony pod Politechniką Wrocławską. Fundament zbudowany jest z wielu małych kostek, na których wsparły się większe, a na nich kolejne, odpowiednio większe i jeszcze większe. Te tysiące ludzi, którzy niczym mrówki budowali „Solidarność” i na których się ona wspierała, zasługują na pamięć. Dzisiaj to najczęściej zapomniani, anonimowi bohaterowie wydarzeń tamtych lat. Sami o sobie mówią, że nic wielkiego nie zrobili. Oprócz jednego – zachowali się jak należy, gdy zaszła potrzeba.

O kilku z nich należy wspomnieć w tym tekście. Psycholog Bogdan Prus do pracy w lubińskim szpitalu trafił w październiku 1980 r. pod skrzydła doktora Fiszera. Znalazł się w bliskim kręgu lubińskiego podziemia. Sam mówi, że nie była to „wielka” działalność – drukował wraz z innymi na ramce otrzymanej od Fiszera, przewoził „bibułę” z Wrocławia czy otrzymywaną sporadycznie od rodziny z Warszawy, brał udział w dyskusjach. Uczestniczył także w demonstracji we Wrocławiu 31 sierpnia 1982 r.

Inną postacią godną wspomnienia jest doktor Jadwiga Nagalewska. Ponieważ posiadała malucha, była proszona o zawiezenie kolegów do Wrocławia w różnych sprawach podziemia. Często jej pasażerem był Władysław Białowas z Wołowa:

„Ona (Jadwiga Nagalewska) zostawała u znajomych na Różance, a ja dalej jechałem na spotkanie. Kiedyś spotkanie zostało w ostatniej chwili odwołane. Mając trochę wolnego czasu, postanowiłem odwiedzić kuzyna, który także zajmował się robotą konspiracyjną. Jak to bywa, zagadaliśmy się i mocno spóźniony wróciłem po panią Jadzię, która sądziła, że wpadłem. Kiedy mnie zobaczyła, najpierw z ulgą odetchnęła, a potem zdrowo obsobaczyła. Zdenerwowana niewiasta potrafi być straszna...”

Omawiając działalność solidarnościowego podziemia w Lubiążu, nie sposób nie wspomnieć o stomatologu Czesławie Zakrzewskim. Był uczestnikiem I Krajowego Zjazdu „Solidarności” w 1981 r. Przez wiele lat uchodził wśród kolegów z podziemia za osobę wybraną jako delegat na „krajówkę”. Cóż, pamięć ludzka jest zawodna, po

latach wiele szczegółów się zaciera, pozostają tylko jakieś mgliste skojarzenia. W rzeczywistości Czesława Zakrzewskiego nie ma na liście delegatów. W Zjeździe brał udział jako osoba towarzysząca Henrykowi Strzyżowi, delegatowi Zjazdu z Brzegu Dolnego. Strzyż podaje, że Zakrzewski w tym okresie był radykalny w swoich poglądach. Wyrazistość poglądów Zakrzewskiego spowodowała, że po wprowadzeniu stanu wojennego już 13 grudnia jako pierwszy z działaczy z Wołowa i Lubiąża został zatrzymany przez SB. Szybko go jednak wypuszczono. Widocznie funkcjonariusze SB przekonali Zakrzewskiego do potrzeby wprowadzenia stanu wojennego, skoro już wkrótce w oficjalnej prasie ukazało się pismo Zakrzewskiego, w którym autor „odcinał się od ekstremy »Solidarności« i jej działań”.

Dla działaczy podziemia w Lubiążu, Wołowie i Brzegu Dolnym był to szok. Kontaktów osobistych co prawda nie zerwano, ale zostały one mocno ograniczone. Tym bardziej że sam Zakrzewski zbytnio nie garnął się do ich wznowienia. Niemniej starał się w późniejszych latach wspierać finansowo działalność podziemną, a działaczom „Solidarności” leczył zęby za darmo.

Co ciekawe, w archiwum IPN nie ma materiałów na temat działalności Zakrzewskiego w „Solidarności” ani informacji o jego zatrzymaniu 13 grudnia 1981 r. Jest za toteczka „Akta paszportowe”, z której wynika, że Zakrzewski nie miał problemów z otrzymaniem paszportu. W latach 1982–1990 wyjeżdżał kilkakrotnie za granicę, w tym do Francji (sześciokrotnie, w 1982 r. dwukrotnie), Grecji (trzykrotnie) i jeden raz do Czechosłowacji.

Osiemnastowieczny myśliciel Edmund Burke pisał, że „do triumfu zła wystarczy bezczynność dobrych ludzi”. Lubiąż miał to szczęście, że owi „dobrzy ludzie” tu mieszkający nie byli obojętni wobec zła, jakim było wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Chociaż dzisiaj żyją w cieniu „wielkich tego świata”, czasami w zapomnieniu, to dali świadectwo, o którym Zbigniew Herbert pisał w *Przesłaniu Pana Cogito*.